

# Dziadowskie klimaty

Z Andrzejem Sosnowskim o jego wierszu rozmawia Magdalena Rybak

Po tęczy

*Andrzej, jak jasno!*  
Georg Büchner

*godzi się  
uczcić ten blask. Ktoś  
szarpie mnie za rękaw,  
zaprasza do lustra, kto*

*ściele lustro i wiesz  
światło jak most, biel  
czasu na wprost w tu-*

*nel jesieni, remisję  
barw, eksmisję liści,  
fugę do dna. Ale kto*

*z łuną na karku  
w martwe odchodzi stulecie,  
ten zabrał obłąd w zegarku,  
tego już nie ma na świecie.*

Przepraszam.

*Tak więc płynęły dni i nic się w istocie nie działo.*

W porządku.

I zarazem coraz mniej w powietrzu  
solmizacji, w istocie robi się nieswojo i ciekawie,  
robi się zimno, chimerycznie, farmakologicznie.  
Dziś (mamy listopad) jest tu dzień jak co dzień,  
idziemy do restauracji tylko na brandy i deser,  
ogrzeje nas *flammende* przy stole nad rzeką –  
*czas zapalek, zapalniczek;*  
*płonie już każdy kieliszek.*

A siedząc nad rzeką wczoraj widzieliśmy wir.  
Był to stały, ewidentnie niewędrowny wir  
który widocznie zaczynał w nas się kochać.  
Pobierał coś i ściągał, pobierał i ściągał,  
mrużał jak oczko alarmu, ikona cyklonu.  
Dreszcz instalacji w dalekim systemie,  
bo nagle wyraźne *pop!* i miałem wrażenie,  
że schodzimy w dół prosto na Twój pulpit i

*ha ha*

*wierszyku*. Pijemy brandy czasu. Póki  
wir, pijemy. Wir trinken und trinken  
brände der zeit, brandy der zeit.

### **Nie zadam pytania.**

Ale jak to? Ma być tak zwany wywiad.

### **Ale ja nie mam pytania. O jakim nie pomyślę, od razu w nie wątpię.**

No cóż, mogłaby się Pani zapytać: skąd tytuł? Dlaczego taki tytuł? A ja powinienem móc coś o tym powiedzieć. Spróbuję. Rzecz w sumie jest prosta: opublikowałem utwór, która nazywał się „Gdzie koniec tęczy nie dotyka ziemi”. Całkiem więc naturalnie postanowiłem napisać historię „Po tęczy”, czyli coś po tamtej książce. Napisałem tytuł „Po tęczy”. I czekałem.

### **Tytuł był i czekał?**

Tytuł był i czekał.

### **Długo czekał?**

Jakieś pół roku.

### **Czekał, czekał i co?**

Napisałem tytuł i czekałem. Napisałem tytuł i nie miałem bladego pojęcia, co mogłoby się dalej pojawić. Napisałem tytuł, czekałem i, hm, nasłuchiwałem.

### **Tytuł to tak naprawdę pierwsze słowa tego wiersza...**

Tak, to są pierwsze słowa tego wiersza i pierwsze słowa większej całości, bo wiersz jest pierwszą częścią dłuższego cyklu, otwiera wiele rzeczy, które mają się pojawić później. I ja teraz już sporo wiem o tych późniejszych rzeczach i mniej więcej wiem, jak będą prezentowały się dalej... ale wróćmy do pierwszego wiersza. Po tytule pojawiło się motto!

### **Skąd przyszło motto?**

Motto przyszło od Georga Büchnera. To jest krótka kwestia z utworu dramatycznego pod tytułem *Woyzeck*. To jest taki sławny tytuł, dzisiaj może bardziej za sprawą filmu Wernera Herzoga. A jest jeszcze opera Albana Berga. Tak czy owak, mam taki zwyczaj, że kiedy coś zaczyna mi się pisać, to ja z kolei zaczynam dużo czytać i słuchać. I właśnie po latach wróciłem do przekładu Jerzego Lieberta i znalazłem kwestię Woyzcka: „Andrzej, jak jasno!” Lubię takie proste słowa, które coś tam znaczą i jednocześnie znaczą coś innego. „Jasność” to jest chyba takie słowo. Na przykład: światłość, pewność, rozumienie. Albo światło dnia lub oświetlenie w jakimś pomieszczeniu. Ale przecież niekoniecznie tak, bo na przykład w miejscu, w którym te słowa padają u Büchnera, znaczą one jednak coś innego. I teraz tak: ja ten kontekst znam, bo muszę go znać, i gdyby akurat tak się złożyło, że ktoś znałby go również, to obaj lub oboje mielibyśmy podobny pogląd na to motto. Ono otwierałoby dla nas jakąś przestrzeń, która jest jednak zarazem całkiem nadprogramowa, bo jeśli ktoś tym tropem nie pójdzie, to będzie miał inną przestrzeń, równie dobrą, a może nawet ciekawszą, gdyż związaną z osobistymi skojarzeniami i doświadczeniami. Innymi słowy: co znaczy kwestia „Andrzej, jak jasno!”, każdy wie. Poza tym, ucieszyło mnie zdanie, na którym można by właściwie zakończyć. Jednak czekałem dalej.

### **A po jakim czasie się pojawiło?**

Nie pamiętam dokładnie. Ale niezbyt szybko.

### **Przeczytałam motto i pomyślałam: kropka, ale zaraz potem nie, to wielokropki.**

Chyba taki był zamiar. Motto powoli zaczęło coś rozjaśniać. Skoro tęcza jest zjawiskiem świetlnym, a potem następuje zdanie „Andrzej, jak jasno!”, to wiersz łapie kierunek, otwiera się przed nim taka atrakcyjna przestrzeń świetlna. Jest „po tęczy” i jest w dodatku bardzo jasno. Dlatego zaraz potem napisałem „godzi się uczcić ten blask”. I: „ktoś szarpie mnie za rękaw”.

### **Miałam wrażenie, że ten początek wiersza jest właśnie o początku wiersza. Ale, jak przy całym wierszu, po wrażeniu, od razu pojawiła się niepewność.**

Tak, początek chyba jest o początku tego wiersza. „Ktoś szarpie mnie za rękaw”, robi to w jakimś celu, chce coś pokazać lub wymusić, na przykład to, żeby „uczcić ten blask”.

### **Tylko nie wiadomo, kto kogo prowadził. Może wiersz prowadził Pana, może odwrotnie albo jeszcze inaczej.**

Naturalnie. „Ktoś” jest, oczywiście, figurą poetycką. Potem pojawiło się lustro, pojawiła się biel, może pojawił się czas? Bo potem nagle przyszła jesień. I to było tak: jest „ktoś”, ale nie wiadomo kto. A więc chętnie pytamy: „Kto? Kto?”. I skąd my to znamy? Przyszła jesień, kiedy kilka razy zadałem sobie w duchu pytanie „Kto? Kto?”, i przypomniał mi się wtedy ten bardzo słynny ustęp z *Dziadów*. Mam na myśli „Dziady I, Widowisko”. Słowo „kto” w kwestii Guślarza, słowo „kto” w pieśni chóru młodzieży. Te wszystkie: „Kto błądząc po życia kraju”,

„Kto z ziemi patrzył ku słońcu”, „Kto jak zwierz pustyni szuka”, „Kto młody odwiedza groby”, i tak dalej. No i dlatego cała ta część kursywą wypadła dość drętwo i archaicznie. Ona kończy się też Mickiewiczowskim echem, bo mocny rym na wyrazie „świecie” także jest znanym rymem z *Dziadów*. Zatem fragment z konieczności kończy się przyznaniem do porażki. Zły początek, nie da się pisać w takich „Dziadowskich” klimatach. Człowiek nie potrafi też, i nie śmie.

### **I pojawia się słowo: „przepraszam”.**

Tak, przepraszam. Po prostu nie wyszło. I wiersz musi się zacząć drugi raz.

### **Ale kto przeprasza? Pan? Wiersz sam za siebie? Czy ktoś jeszcze?**

Jakiś głos. Po przeprosinach zmienia się język. Staje się monotonicznie współczesny.

### **Właśnie – wieloobsadowość. To może być ten sam głos, może być w różnych rolach, albo może to być zupełnie nowa postać...**

Może być nowa postać. Lubię wielogłosowość w wierszu lirycznym. Sztuczna wydaje mi się wymiksowana wypowiedź podmiotu lirycznego, sklarowane „ja” postawione nie wiadomo gdzie. Obok świata? Nad światem? A w świecie tkwi wielogłosowość czy też, jak Pani powiedziała, wieloobsadowość. Czasem te graficzne efekty, pisanie kursywą, a potem antykwą, dają lepszą możliwość odczytania czegoś jako innego głosu.

### **„Tak więc płynęły dni i nic się w istocie nie działo”.**

O, Pani już nawet mówi kursywą. To jest wzięte ze współczesności. Faktycznie nic się nie działo i już.

### **I „W porządku”.**

I „W porządku.”

### **Do której wypowiedzi się odnosi? A może do żadnej. Kto z kim rozmawia? A może nie rozmawia?**

Nie wiadomo. Wiadomo, że „Dziady” mimochodem wprowadziły nas w klimat jesieni. Więc dalej jest listopad. I wchodzi kursywą „czas zapalek, zapalniczek” (tu powinien być raczej „trzask”, nie „czas”), znów trochę na refrenowych i rytualnych rytmach „Dziadowskich”: „Ciemno wszędzie, głucho wszędzie”. I „płonie już każdy kieliszek”: kieliszki z mocnym alkoholem jak znicze cementarne płoną. Ale w kontekście tego, co już było, w kontekście „dzisiaj dzień jak co dzień”, w kontekście bladej „chimeryczności i farmakologiczności” nawet te restauracyjne, listopadowe i zaduszkowe rytualizacje niewiele dają. Coś musi się w tym wierszu wydarzyć i dlatego pojawia się wir. Wir nie jest wędrowny, jest stały. W tym pejzażu taki spolegliwy wir może coś istotnego spowodować.

### **Wir, który „Pobierał coś i ściągał, pobierał i ściągał”.**

Tak. Wciągał, pobierał, ściągał. Jak to rzeczny wir, jak komputer, prawda? Znamy takie komunikaty: „trwa pobieranie programu”. Mówimy o „ściąganiu” czegoś. To jest *download*. Czasem przy operacji tego typu na ekranie kręci się takie dziecinne kółeczko; w wierszu nazywam je „ikoną cyklonu”. I pojawia się możliwość zmiany wymiaru, bo osoby, które siedziały nad rzeką, najwyraźniej znikają. „Dreszcz instalacji w dalekim systemie”: cała zapatrzona ekipa została przez ten wir zassana i przeciągnięta gdzie indziej, w jakiś inny system. A na zakończenie takiej operacji często słyszymy w naszym urządzeniu „pop!”, więc ten efekt też się tu pojawia. I gdzie lądujemy? Na Twoim pulpicie! „Schodzimy w dół prosto na Twój pulpit” to jest taka humoreska, na przykład, bardzo nowoczesny Bóg, który sprawuje sądy na pulpicie swojego terminalnego komputera. Zachowaj, usuń, kosz. I tak dalej. A następnie mamy zwrot bezpośredni „*ha ha wierszyku*”, jakby ktoś chciał zrobić mu coś złego; chodzi o próbę likwidacji wiersza.

### **Chochlik albo wirus. Wszystko wywraca. Pojawia się nowy język.**

Oczywiście. Chodzi o „Pijemy brandy czasu”, bo to jest bardzo kiczowate, prawda? Bardzo ryzykowne. Na granicy akceptowalności, więc muszę dać sygnał wierszowi, że zwracam się przeciwko niemu, pisząc coś takiego. A zaraz potem mamy prymitywny kalambur wir (pol.) / wir (niem.). I pojawia się prosta fraza „Wir trinken und trinken”, czyli „pijemy i pijemy”. Ale tu znów zaczyna majaczyć pewien kontekst, bo ja wiem, może to nawet trzeba by nazwać „intertekstem”, bo „wir trinken und trinken” wiele razy powraca w sławnej „Fudze” Paula Celana. Jednak znów jest to skojarzenie jak gdyby nadprogramowe, choć pewnie tylko do czasu. Bo kiedy pojawia się „brände der zeit”, czyli „pożar czasu”, to już jest nieodwołalnie Celan. To jest taki gwóźdź do trumny tego wiersza. Trzeba kończyć.

### **Miał Pan uczucie, że ten wiersz w tym momencie powinien przystanąć?**

Tak. Po tym zakończeniu nic już nie mogło się pojawić. Nie chodzi o jakościową jego ocenę, ale o wybrzmienie, o wydźwięk: „brandy der zeit” – „zeit” na zet. Brzmi jak kropka.

### **Pożar, po żar, po tęczy, też na tej płaszczyźnie to koresponduje.**

Fantastycznie, bardzo się cieszę. No i wszystko jakoś się pozawiazywało, bo okazuje się, że już wcześniej mieliśmy „tunę”, a jeszcze wcześniej wystąpiła „fuga”. Pisząc dalsze części, odnajduję takie powiązania często zupełnie niespodziewanie. Słowa pociągają za sobą inne słowa i otwierają kolejne obszary. Dzięki takim słownym przebiegom mam wrażenie, że coś „wydaje się” lub „wydaje siebie” na świat, tak jakby kolejne odsłony nie pojawiały się za sprawą naszej inicjatywy, lecz za sprawą obdarzonej wolą całości, która ku czemuś samodzielnie ciąży. I dlatego pisanie polega tu raczej na nasłuchiwaniu i oczekiwaniu na impulsy, ale na właściwe impulsy, właściwe tylko dla tej rzeczy, która sama właśnie powstaje.

### **Miałam wrażenie, że nie odbieram słów, lecz dźwięki. Słowa ograniczają, a tu jakbym poruszała się po otwartej przestrzeni dźwiękowej.**

Tak, bo język to jest głównie muzyka atmosferyczna i ciało, cielesność w innym stanie skupienia, w innym stadium materii. Skoro można pomyśleć materialność światła, mówić o świetle podlegającym działaniu grawitacji, to czemu język nie miałby być subtelną, acz materialną formą obecności ciała w przestrzeni? Myślenie o języku zostaje drastycznie zubożone w momencie, kiedy zaczyna dominować pojęcie informacji, przekazu, komunikatu. Albo kiedy zaczynamy destylować substancję tak zwanych idei. Zawsze chodzi raczej o choreografię. Wielość kroków i figur. Ponadto wielość dźwięków i głosów.

**Jak Filharmonia. Przy tej muzyczności i wielogłosowości i w przestrzeni do tego stworzonej, która pozwala to przeżyć.**

Tę przestrzeń trzeba wytworzyć i ona musi być pojemna, aby można w niej było oddychać. Rozbierałem dla Pani własny wiersz, co zawsze jest dość ryzykownym przedsięwzięciem, również dlatego że jego przestrzeń może w ten sposób ulec lekkomyślnej i niepomyślnej redukcji. Ale dla mnie taka rozbiórka jest jedną z możliwych interpretacji. Jest to taka interpretacja, z której prawdopodobnie nie chciałbym się wycofać, nawet gdyby ktoś mi powiedział, że cała rzecz dzieje się zupełnie inaczej. Jednak każdy jest do tego w pełni uprawniony, i ja wcale tu nie mam jakiejś zagwarantowanej, wymiernej przewagi. Różne interpretacje muszą ze sobą współistnieć.

**Wydaje mi się... Czytałam i myślałam: wydaje mi się, że... i nagle rozumiałam, że mi się wydaje, że mi się wydaje...**

Może więc robiła Pani to, co właśnie nazwałem oddychaniem, oddychaniem wśród zmiennych znaczeń, pośród słów. Lubię, kiedy słowa pozwalają na wędrówki w rozmaite strony: dalej, bliżej, obok, wstecz. Można przygwoździć i umocnić motto w jego źródłowym kontekście, ale wcale nie trzeba, bo ono przecież może się okazać znacznie ciekawsze poza Büchnerem; ktoś zechce zwrócić uwagę na imię własne i dojść do wniosku, że autor ma tu na myśli tylko siebie. Dość podobnie jest z tamtym pogłosem „Dziadowskim”. Płaszczyzny i przestrzenie się zmieniają, słowa wchodzą w długie i zawite rezonanse. Każdy coś innego słyszy, inaczej odbiera.

**Jak by Pan komponował. Wybiera Pan dźwięk, próbuje i szuka dalej. Jak długo powstawał ten wiersz?**

Chyba niestety dosyć długo. I jego dalszy ciąg jeszcze dzisiaj powstaje. Mam w tej chwili osiem gotowych kawałków z tego cyklu i całkiem sporo momentów, które mają się wydarzyć, a które są ledwie naszkicowane. Komponowanie byłoby określeniem o tyle na miejscu, że jest cała seria brzmień już zapisanych, co do których nie mam najmniejszej wątpliwości. Ale nie mam łączników, a łączniki to już jest problem poniekąd kompozycyjny i muzyczny. Czasem się okazuje, że coś, co jest na 7 stronie notatek, komponuje się z czymś, co jest na stronie 3, tyle że trzeba znaleźć coś w rodzaju rymu i dwa słowa zawierające dźwięki „n” i „d”. Na przykład wyraz „żmudny”. Żmudny, to chyba dobre określenie tego początku, o którym próbowałem Pani coś powiedzieć.

**Nawet na poziomie opowiadania o własnych narodzinach, o procesie dojrzewania wydaje mi się tak prawdziwy. Pokonywanie trudności i opowiadanie o niej. Tu jakby wszystko opowiadało swoje życie, swój dzień, swoją chwilę.**

Otwarcie było żmudne, ponieważ chodziło o to, aby szybko zająć jak największy obszar i jak najwięcej elementów wprowadzić do gry za jednym razem. Ono się jakoś tam powiodło, bo rzeczywiście zaczęło działać jak napęd dłuższego cyklu. Ale to jeszcze nic nie znaczy, bo jaka będzie ta całość, cóż, czas pokaże? „Albo i nie”, jak lubił mówić Ronald Firbank.

## **Biogram**

**Andrzej Sosnowski** (ur. 29.05.1959, Warszawa) – poeta i tłumacz, redaktor w „Literaturze na Świecie”. Laureat nagrody Fundacji im. Kościelskich oraz nagrodą miesięcznika "Odra". Laureat m.in Nagrody Kościelskich i nagrody miesięcznika Odra. Tłumaczył m.in takich autorów, jak: Ezra Pound, John Ashbery, Elizabeth Bishop, John Cage, Paul de Man, Harry Mathews. Mieszka w Warszawie.

## **Poezja:**

- *Życie na Korei*, Przedświt, Warszawa 1992
- *Dom bez kantów* (wraz z Tadeuszem Piórą i Kubą Koziołem), The Movable Feast Press, Chicago 1992
- *Sezon na Helu*, Stowarzyszenie Literackie „Kresy”, Lublin 1994
- *Nouvelles impressions d’Amerique*, Warszawa, 1994
- *Oceany*, Pomona, Wrocław 1996
- *Stancje*: Stowarzyszenie Literackie „Kresy”, Lublin 1997
- *Cover*, Centrum Sztuki - Teatr Dramatyczny, Legnica 1997
- *Konwój. Opera*, Pomona, Wrocław 1998
- *Dom bez kantów*(wraz z Tadeuszem Piórą i Fantomasem) Centrum Sztuki - Teatr Dramatyczny, Legnica 1998
- *Zoom*, Zielona Sowa, Kraków 2000
- *Wiersze*, Biuro Literackie, Legnica 2001
- *Taxi*, Biuro Literackie, Legnica 2003
- *Gdzie koniec tęczy nie dotyka ziemi*, Biuro Literackie, Wrocław 2005
- *Dożynki*, Biuro Literackie, Wrocław 2006

## **Eseistyka**

- *Najryzykowniej*, Biuro Literackie, Wrocław 2007

## Inne

- *Warszawa* (album fotograficzny z tekstami, przygotowany wspólnie z Tadeuszem Piórą. Fotografie: Marc Atkins) WIG Press, Warszawa, 2005

## Przekłady

- Ronald Firbank *Zdeptany kwiatuśzek*, PIW, Warszawa 1998
- Jane Bowles *Dwie poważne damy*, PIW, Warszawa 2005